Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 52.

dnia 27. Listopada 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

KWIAT TAJEMNICZY.

(Dokończenie.)

Oficer z boleścią głową potrząsał, patrząc na te twarze gołowąse, a już po części napiętnowane dziką żądzą mamony, wyrazem zbydlęcenia, przez brudną, niegodziwą rozpustę. Kilku próbowało przez okna uciekać. Z pierwszego piątra było trochę za wysoko do skakania i zresztą w dziedzińcu było również pełno bagnetów.

Główny aktor tego dramatu straszliwie wyglądał. Usta były pjaną okryte, oczy krwią zaszłe, dziko w koło biegały. Oparł się o ścianę, mając przed sobą okrągły stół z ruletą, a potrząsając sześciostrzałowym rewolwerem, krzyczał głosem syczącym i ochrypłym:

— Precz odemnie łotry, hultaje! Ktokolwiek zbliżyć się ośmieli, trupem go położę.

Żandarmi mimowoli ku drzwiom cofać się poczęli, i tu w kłąb zbici, naradzali się, co| dalej począć. W tem usłyszano nowy szelest u drzwi głównych, żandarmi na giest rozkazujący dowódcy rozstąpili się z rodzajem przerażenia, a wysoka, imponująca postać margrabiny de Nangis, ukazała się na progu, odbijając od szat zupełnie czarnych, swoją bladością marmurową, jak trup na katafalku złożony, odbija od całunu żałobnego.

Nie pytając i nie dbając o lufy rewolweru, podstąpiła szybkim krokiem na środek sali i rzekła głosem, jak wyrok śmierci uroczystym:

— Gustawie hrabio de Tournelles, Maksie de Lussac, Isaaku Levy, nadeszła zemsty godzina, chwila upragniona, której nadzieja, jedynie mnię przy życiu zatrzymywała. Oto oskarżam cię w obec tych licznych świadków, o krzywoprzysięstwo, fałszowanie banknotów, i wszelkich innych dokumentów, o przywłaszczenie nieprawe cudzych nazwisk, o skradzenie brylantów twojej narzeczonej Julji de Granville, nakoniec o zamordowanie tejże brata, Adolfa de Granville, tą kulą, wydobytą z jego piersi rannej śmiertelnie.

Wyciągnęła w górę ramię drżące, jakby wzywała piorunów z niebios na głowę mordercy; w palcach trzymała przypłaszczoną i od krwi zardzewiałą kulę pistoletową.

Isaak oniemiał w pierwszej chwili, i drżący z przerażenia spuścił w dół rękę z rewolwerem. Korzystali z tego ruchu żandarmi, aby skoczyć ku niemu. Szybko jednak się opamiętał, i widząc że ratunku nie ma, chciał przynajmniej *Nemesis* swoją trupem położyć, zanim odda się w ręce karzącej sprawiedliwości. Skierował rewolwer wprost na panią de Nangis, ona jednak trzymała dalej ramię wyciągnięte, żaden nerw nie drgnął w twarzy, oczy palące nie odwróciły się od twarzy oskarzonego. Już palcem cyngla dotyka, gdy baczne oko najbliższego żandarma, bagnetem broń w górę podrzuca. Pada strzał, chwilę widać jak przez mgłę twarz Isaaka, wreszcie z głuchym jękiem usuwa się na ziemię. Kula w jego własnej skroni utkwiła.

Rzucił się ku niemu oficer wyprawą dowodzący:

— Pani — rzekł z cicha. — Bóg sam sprawę twoją rozsądził, prędzej, niż by to mogła uczynić ludzi sprawiedliwość. Oskarzony przez ciebie kona.

— Skryte są wyroki twoje o Panie! — margrabina ze złożonemi rękami głowę na pierś zwiesiła. — Długo czekasz na opamiętanie i poprawę grzesznika, aż wreszcie gdy brnie dalej, zsyłasz nań pioruny gniewu Twojego, kiedy najmniej się ich spodziewa.

Usta jej drżące poruszały się bez dźwięku, jakby niemą modlitwę stała w niebiosy, czy dziękując, czy za tę duszę wstawiając się, która tak nagle miała stanąć przed tronem sędziego najsprawiedliwszego...

Wyprostowała się wreszcie ze zwykłą sobie dumą:

— Myślę panowie — obróciła się do obecnych — iż nie jestem tu już potrzebną? Dowody na prawdziwość słów moich, złożyłam dziś rano w ręce pana dyrektora policji. Żegnam panów.

I wyszła krokiem pewnym, jak królowa z pomiędzy swoich poddanych.

Temi samemi drzwiami wśliznęła się Heloiza. Przypadła z krzykiem rozpaczy, doskonale udanym, do ciała konającego, i rzuciła się na niego, w chęci nibyto ostatniego pożegnania. Tymczasem zręcznie wsunęła

rękę do kieszeni szukając klucza od pomieszkania. Znalazła go z pękiem innych drobnych kluczyków.

Chustkę do ócz cisnąc, i łkania nią tłumiąc gwałtowne, wyszła zwolna, krokiem chwiejnym z sali. W chustce i klucze się mieściły.

Gdy raz znalazła się na ulicy, tem rączej biedz poczęła, a uśmiech tryumfu osiadł na ustach, tak mistrzowsko łkających przed chwilą. Wpadła do pomieszkania, z łatwością kluczyki do kuferków dobrała. z sercem bijącem szuka, przewraca... wreszcie szkatułkę nadybuje... otwiera ją, i pada bez życia. W szkatułce nic nie było!

XVIII.

W OBOZIE.

Mgła gęsta, podobna do całunu szarego i wilgotnego, spowiła cały widnokrąg. Na trzy kroki nie można było rozróżnić żadnego przedmiotu; sosny pobliskiego lasu, wyglądały niby duchy w białe szaty od dołu poobwijane, z głowami czarnemi i suchemi, rozkrzyżowanemi ramionami. Zdawało się, jakby te wszystkie dymy i niezdrowe wyziewy, które wojna niesie z sobą, zeszły się tutaj, aby świat przed okiem ludzkiem zasłonić.

Księżyc chociaż w pełni, nie mógł mgły przebić, i zsyłał na ziemię światło blade, przyćmione, jak lampka nocna przy łożu konającego; gwiazdka żadna nie świeciła na szarem tle niebios.

Wicher jesienny wył i jęczał, a za każdym jego ponurym poświstem, na ziemię wilgotną przybywała nowa warstwa liści zwiędłych, z których wicher bez miłosierdzia, ogołacał drzew konary.

Gdzie niegdzie, wśród ciszy wieczornej, odezwał się głuchy jęk dzwonów, i niebo purpurą się powlekało raz niżej, raz wyżej... wojny to pochodnia malowała w ten sposób widnokrąg, zostawiając za sobą głód, mór i zgliszcza niedopalone wiosek i miasteczek francuzkich.

I tu na stoku Pireneów, u podnóża lasu, na łączce ognie rozpalono. Nie były one jednak, tak jak tamte niebezpieczne. Garstka *Franctireurów* biwakowała wesoło.

Ostatnie to zastępy rycerzy Leonidasowych, którzy w łonie swojem unieśli honor Francji, i postanowili zginąć przynajmniej, jeżeli już nic uratować nie potrafią.

Zniósłszy armię regularną, wziąwszy do niewoli krocie, z cesarzem Napoleonem III. na czele, Prusacy byli pewni, że cała Francja stoi im otworem, gdy pełni zdziwienia, ujrzeli nagle, wyrastające niby z pod ziemi, gdzie tylu ich braci legło snem wiecznym, owe garstki żołnierzy młodych, niewyćwiczonych, źle ubranych i nie lepiej uzbrojonych, ale posiadających skarb wielki, poczucie honoru i miłość gorącą ojczyzny.

Taką garstkę, po większej części gołowąsych młodzieniaszków, widzimy rozłożonych obozem na łączce pod lasem. Dowodzi nimi człowiek nie o wiele starszy, lat trzydziestu niemający. Litwin z rodu, za gościnność na ziemi francuzkiej doświadczoną, pospieszył bronić i własną piersią zasłaniać tę drugą matkę sercem przybraną. Prawdziwy to syn puszcz litewskich. Natura cicha, w sobie zamknięta, jak ich głębie tajemnicze; bujne blond włosy, niby słońca promienie, świecą nad jego czołem wysokiem, inteligentnem; jasne, niebieskie oko, patrzy zwykle słodko i łagodnie. W obec nieprzyjaciela atoli, to lew nieustraszony, to człowiek ze stali, niezwalczony i nieustraszony.

Siedzi zadumany przy ognisku, i patrzy w dal tęsknem okiem. Ta głucha jesień, tak mu Litwę jego przypomina. Ileż razy młodzieniaszkiem, tropił w czas podobny wśród serdecznych towarzyszy, zwierzynę na polowaniu, a jeszcze później, na innego, grubszego zwierza czatował; wśród niedostępnych puszcz swoich, trapił i niepokoił z garstką walecznych olbrzyma. chcąc mu wydrzeć z dzikiej paszczęki, poszarpane ciało matki, ojczyzny. Może liczy w tej chwili, ilu tam po za sobą zostawił, którzy już nigdy nie wstaną, może sercem słyszy, owe jęki bolesne, sióstr, żon i matek pobitych, a okiem duszy mierzy morze łez i krwi, które znowu daremnie wylano, aby tylko przypomnieć starej, zaślepionej w swoim brudnym egoizmie Europie, że jest gdzieś na północy naród, który kona powoli w męczarniach bezprzykładnych, od stu lat przeszło, a siła jego niespożyta, umrzeć mu nie daje.

Ocknął się wreszcie z bolesnej zadumy i powiódł jasnem okiem w około:

— Leons coś nie wraca — rzekł do swojego adjutanta, Maurycego d' Aubigny, przyjaciela od serca pana Michaud — a żołnierz nasz głodny, zapasy zupełnie wyczerpane.

— Jestem pewny — zawołał Maurycy z zapałem — że Leons sprawi się dobrze.

— I ja o tem nie wątpię — potwierdził dowódca. — Michaud jest dzielnym żołnierzem. Poleciłem go naszemu jenerałowi i spodziewam się, że krzyż otrzyma.

— Co jest tem chwalebniejsze z jego strony — mówił dalej Maurycy, — że to był człowiek bogaty, mógł łatwo uwolnić się od służby wojskowej, a on jednak wytrwał do ostatka i nie masz niebezpieczeństwa, na które by się nie narażał.

— W samej rzeczy — dowódca głową skinął — odwaga jego jest tak szalona, jakby umyślnie śmierci szukał. Nie wiesz pan, dlaczego jest zawsze tak ponury i milczący?

— Nie znam bliższych stosunków jego. Niegdyś znaliśmy się w Paryżu — d' Aubigny oblał się szkarłatem — wtedy obydwaj nie wieleśmy, co prawda, byli warci. Wiedliśmy życie hulaszcze, tracili majątek, zagryzali na śmierć nasze matki, i obydwaj byliśmy uwikłani w sidła, pięknej i sprytnej baletniczki. O mało z tego powodu nie przyszło do pojedynku między nami. Później straciłem go z oczów. Miał się w czas jeszcze opamiętać i wziął się do pracy co się zowie, ratując majątek po rodzicach pozostały. Jam zaś stracił wszystko — d' Aubigny głucho westchnął — we Fracji zostać nie chciałem. Udałem się do Anglji, i tam jak umiałem, zacząłem na chleb pracować. Na

pierwszą wieść o wojnie, pospieszyłem napowrót do kraju. Żyć nie mam dla kogo... może choć śmierć moja przyda się na co.

— Mówisz tak młodzieńcze, jakbyś sobie *extra* kulę w pierś zamówił. Życiem nie wolno nam frymarczyć, bo mamy zdać z niego rachunek, przed tym, który wlał w nas to życie. Zresztą o cóż łatwiej dziś? Ot jutro mamy się połączyć z głównym korpusem. Będzie to taniec nie lada i nie jeden z nas, w śmiertelnym uścisku, tej pani wielkomożnej, której kosa od tronu aż do poddaszy wszystkich równo dosięga, nie podniesie się już może z ziemi. Ale słyszę ruch jakiś i krzyki radośne. Może to Leons powraca.

W rzeczy samej, wrócił Leons z towarzyszami, prowadząc kilka wozów żywności. Do jednego z wozów przywiązano i prowadzono wśród przekleństw i naigrawań, łotra *mera* z miasteczka pobliskiego, który mając pełne pokoje chleba napieczonego i mięsiwa wędzonego, chował to wszystko dla Prusaków. Jeden z żołnierzy Leonsa, dziecko bruku paryskiego, *gamin* prawdziwy, jak lis chytry i przebiegły, wyszpiegował tę kryjówkę i oddał w ręce Leonsa znaczne zapasy.

— Na gałąź z łotrem! Powiesić psa pruskiego! — słychać było huk głosów w obozie, niby łoskot fal morza wzburzonego.

— Cicho! — krzyknął groźnie dowódca. — *Mera* okutego oddamy jutro w ręce jenerała. Jako obcy między wami, nie jestem sędzią kompetentnym. Zresztą — zwrócił się do swojego adjutanta — umiem bić się z nieprzyjacielem uzbrojonym, ale nie lubię patrzeć na śmierć bezbronnego, którego ciągną na gałąź. Budzi to w mojem sercu zanadto bolesne wspomnienia. Iluż moich braci, zawisło na haniebnem drzewie szubienicy — dodał z cichem westchnieniem.

Leons zdał raport dokładny ze swojej wyprawy, meldując przytem, że jutro skoro świt, mają starać się przebić przez nieliczne oddziały pruskie, i połączyć z głównym oddziałem w miasteczku P.

— Czemuż jenerał nie wysłał innego ordynansa z tym rozkazem? — zagadnął dowódca — Pan mogłeś zostać już na miejscu.

— Sam prosiłem o odesłanie mię nazad — odrzekł Leons cicho. — Chciałem dzielić z towarzyszami jutrzejszą wyprawę. Ani moi ludzie, ani konie nie były tak zmęczone, żebyśmy nie mogli wracać. I dobrze się stało. Niedaleko od P., spotkaliśmy rekonesans pruski i musieliśmy stoczyć z nim małą utarczkę...

— Gdzie tam małą! — odezwał się ów *gamin* paryski Brindou z przechwałką. — Było ich trzy razy tyle co nas, aleśmy ich przepędzili gdzie pieprz rośnie, a pan porucznik, to się bił za dziesięciu i nawet od jednego z nich pamiątkę dostał.

— Jesteś ranny Leonsie? — zawołał z trwogą Maurycy, przyskakując do przyjaciela.

— Och! drobnostka — Leons wzruszył ramionami. — Lekkie draśnięcie pałaszem, po prawem ramieniu. Mówić o tem nie warto. Ty wiesz — dodał ze smutnym uśmiechem — że mnie się kule nie mają.

— Chwała Bogu! — rzekł serdecznie dowódca. — Wielka by nam szkoda była, gdyby pana nie stało. A teraz każ się pan opatrzeć naszemu chirurgowi i spocznij do jutra, bo dzień jutrzejszy krwawym być obiecuje. Jeżeli jutro przetrwamy, nie minie pana legji krzyż oficerski. Spuść się pan na mnie.

Uścisnął dłoń obu młodzieńców i wkrótce cisza coraz głębsza, zalegała wśród obozowiska. Ognie gasły, gdzie niegdzie tylko z pod popiołu, żar świecił w nocy ciemnościach; jaki taki, ułożywszy się na trochę słomy, z kułakiem pod głową, zachrapał potężnie, jakby spał na łóżku najwygodniejszem; placówki tylko jedna drugiej hasło oddawały; konie nawet zmęczone do snu się pokładły.

Dwaj przyjaciele mieli namiot maleńki, gdzie przynajmniej przed deszczem byli cokolwiek zasłonięci. Tu na mchu, w lesie przez żołnierzów pozbieranym, wyciągnęli się dość wygodnie, zważywszy miejsce i okoliczności. Chirurg ramię Leonsa opatrzył. Znalazł jedynie silną kontuzję od pałasza i kazał po prostu arnikę z wodą przykładać.

— Najgorzej, że jutro pałasza nie będę mógł użyć — skrzywił się Leons — muszę zadowolnić się rewolwerem, a jutro może nam być mimo zimnej jesieni bardzo gorąco.

— Żeby przynajmniej jaśniej zrobiło się na świecie — westchnął Maurycy. — Przy świetle słonecznem wszystko inaczej wygląda.

— Mnie bo zawsze jednakowo smutno i ciemno w duszy — machnął ręką Leons.

— I czemuż to tak bracie? — uścisnął go Maurycy serdecznie. — Niechcę ci się narzucać i zgłębiać twoje tajemnice, może by ci jednak ulgę sprawiło, podzielić ciężar serce tłoczący, z najlepszym, jakiego kiedy miałeś przyjacielem

— Dziwnie to się życie układa! — westchnął Leons — pamiętasz, jak niegdyś rywalizowaliśmy z sobą u rydwanu pięknej Chênois, i prawie już na ostrzu szpady ta kwestja stanęła, a dziś, gdy nam istotnie niemal co dzień śmierć w oczy zaziera, pokochaliśmy się jak bracia. Cóż ci mam mówić o sobie. Stare to jak świat dzieje, ta walka ducha złego i dobrego, lecz biada temu, który miał przy boku anioła, a jednak popadł w sidła piekielne. Bóg mi zesłał na drogę życia dziewicę czystą, niewinną; byłaby mi wierną towarzyszką w złej i dobrej doli, byłbym się przy niej odrodził, został pożytecznym członkiem społeczeństwa. Tymczasem przyszła na mnie chwila złowroga, chwila pokusy i nie znalazłem dość siły, aby jej się oprzeć. Do dziś nie wiem co się wtedy ze mną stało. Pamiętasz Maksa de Lussac? On to jakąś sztuczką szatańską, upoił mnie jedną szklanką szampana... resztę przytomności odebrały mi oczy palące Heloizy, z której pazurków zdawało mi się, żem się na zawsze uwolnił. Dość na tem, że przyrzekłszy matce umie-

rającej, iż więcej kart w ręce nie wezmę, przysięgę złamałem, dałem się namówić i usiadłem do *Faraona* w Wiesbaden w sali gry... Anioł mój dobry, odtrącił mnię wtedy od siebie, a ja zrozpaczony, oszołomiony, próbowałem odgrzebać z popiołu zagasłe płomienie namiętności dzikiej, zmysłowej, która mnię niegdyś prowadziła w ramiona Heloizy, i... daruj mój drogi, że się tak wyrażam, o przedmiocie, przez ciebie niegdyś uwielbianym — w oczach własnych upadłem tak nizko, iż klęcząc u jej nóg, na nowo o tę miłość raz odrzuconą gorąco błagałem. Wtedy Heloiza obrzuciła mnię drwinami, pogardą za pogardę płacąc, w oczach moich wrzuciła w staw głęboki, najdroższą po matce pamiątkę. Także dotąd jest to dla mnie tajemnicą, jak z moich piersi, medalion niegdyś z błogosławieństwem przez matkę na szyję mi zawieszony, dostał się do rąk Heloizy?... Odtąd niema dusza moja chwili spokoju, czarna rozpacz się w niej rozsiadła i gdyby nie ręka mojego białego, cichego anioła, mojej Blanki najdroższej, byłbym w owej chwili nieszczęsnej, poszedł na dno wraz z moim medaljonem. Ona mi żyć kazała, ona mi powiedziała, że jeżeli cień matki rozgniewany, nie da się ubłagać inaczej, tylko krwią moją, toć mogę śmierci poszukać na polu chwały, broniąc Francji. Blanka mi przebaczyła, oto pamiątka, którą mi w chwili odjazdu przysłała. Nie wiem co zawiera, gdyż słowem związany, nie śmiem tam zajrzeć, chyba w chwili skonu... wiem jednak, że to nie owa święta po matce pamiątka. Cud tylko mógł ją z toń wodnych wydobyć, a jam na niego nie zasłużył. Nie ma już dla mnie szczęścia na tym świecie, a i śmierć stronić się zdaje odemnie.

— Daj pokój tym smutnym myślom — wtrącił Maurycy. — Blanka wyprosi ci tam u góry przebaczenie i jeszcze promień szczęścia życie twe rozweseli. Ja co innego. Czy uwierzysz, że dotąd *Satanelli* zapomnieć nie mogę i dziś chętnie bym z nią życie podzielił, byle tylko chciała taką dolę tułaczą. Choć wielką ci krzywdę wyrządziła, przyznaj jednak, że to natura niecodzienna, wulkaniczna, namiętna do dzikości, ale zdolna tak samo do szczytu poświęcenia, jak i do zbrodni nieledwie. Gdyby mię tylko kochała, nie wahałbym się powierzyć jej sercu moich przyszłych losów. Najpewniej jednak nigdy więcej nie zetkną się drogi nasze i ja albo legnę w boju, lub samotny pójdę w świat dalej i podejmę na nowo ciężką z życiem walkę. Słuszna to będzie kara, za młodość w próżniactwie spędzoną i majątek stracony lekkomyślnie.

Na tem skończyli rozmowę dwaj przyjaciele, a w krótce sen pokrzepiający, pełen słodkich widziadeł, skleił ich powieki.

XIX.

SPOTKANIE.

Słońce krwawo zaszło nazajutrz.

Od rana, gdy zwycięzkie jego promienie, zmusiły mgłę do ustąpienia, i gdy jej brudne, szare podarte szmaty, już tylko gdzie niegdzie po ziemi pokornie pełzając, lub co najwyżej, u niższych konarów drzew przyczepione, uciekały i znikały czemprędzej, przed blaskiem dnia olśniewającym, od owej chwili na ileż to nędzy ludzkiej to słońce patrzyło, w iluż strasznych, szklannych źrenicach, odbiły się jego promienie, w źrenicach, które nigdy już nie miały dnia jasnego oglądać, które żwirem i ziemią przysypane spoczęły wiecznym snem.

Może też tym młodym sercom, które nie wahały się dla ojczyzny krew z piersi wytoczyć, zabłysło w nagrodę światło wiekuiste, ale całe potoki tej krwi młodej, serdecznej, wypiło słońce przez dzień dzisiejszy, z ziemi dymiącej niby stos ofiarny. Nie darmo taką purpurą okryło się przy zachodzie, nie darmo stada ptaków drapieżnych, z krzykiem przeciągłym i nawoływaniem, okrążały dolinę i wąwóz pod lasem, coraz bliżej... coraz niżej...

Zresztą cisza tu panowała, ponura, uroczysta, jak na cmentarzu. Czasem koń rżący, bez jeźdca przeleciał, z częsta jęk głuchy, gdzieś, jakby z pod ziemi się odezwał.. i znowu nic nie słychać...

Walka zacięta trwała do wieczora. *Franctireury* tak lwy się bili i przebili się wreszcie do miasteczka P., ale z ogromnemi stratami, tak w ludziach jak w koniach.

Leons z głuchym jękiem podniósł głowę i błędnym wzrokiem rzucił w około. Jak przez sen sobie przypominał, że leciał na ratunek Maurycemu, którego aż trzech dragonów obskoczyło... że jednego z nich trupem położył wystrzałem z rewolweru, drugiego ciężko zranił, a trzeci dał za wygranę i ku swoim rejterującym, pogonił... dla czego i on zsunął się z konia na murawę i już się podnieść nie mógł?... w pierwszej chwili dziwnego oszołomienia, nie umiał sobie na to pytanie odpowiedzieć...

Powoli przychodził do przytomności. Gdy strzelał, jeden z trzech dragonów, zamierzył się na niego pałaszem. Lewą ręką cięcie trochę sparował, jednak *képi* spadła mu z głowy, uczuł w tej chwili ból przenikający, szum w uszach i omdlewający upadł na ziemię. Było to dość silne cięcie, ale na płask i przez czapkę jeszcze osłabione.

Przetarł oczy. Ramię wczoraj draśnięte, zaogniło się widocznie i mocno go bolalo... próbował wstać, ale nogi się pod nim uginały. Wszak przez cały dzień prawie w ustach nic nie miał.

A! otóż i ów dragon zabity. Może znajdzie co przy nim, czemby mógł się posilić. W manierce koniak wyborny. Mój Boże! wrogi piją doskonałą wódkę francuzką, a własne jej dzieci, walczące z taką zaciekłością o każdą piędź ziemi ojczystej, dawno już tego przysmaku nie wąchały! Pokrzepiony łykiem potężnym, zakąsił chlebem i słoniną wędzoną, która była w tornistrze i uczuł się zaraz o wiele silniejszym. Do dragona jeszcze się na rękach i nogach przyczołgał, teraz, chociaż zataczając się jak pijany, powstał i zrobił kilka kroków.

Okropny widok oczom jego się przedstawił; groźniejszym i piekło pochwalić by się nie potrafiło. Ale któż to tam leży nieopodal, w krwi skrzepłej kałuży?

Boże! Maurycy! Więc go nie ocalił. Usta mu posiniały, ręce opadły bezwładnie, a jednak zdawało się, jakby w nim tliła jeszcze życia iskierka. Rzucił się przed nim Leons na kolana, natarł mu skronie i pulsa wódką znalezioną, wreszcie próbował, zęby ścięte delikatnie podważając, wpuścić kropel kilka koniaku w usta rannemu.

To poskutkowało. Maurycy drgnął konwulsyjnie i 'tworzył oczy szklanne, błędne, przerażające dziwną ...ą martwotą.

— Wody! — jęknął głucho.

Na szczęście, źródełko czyste jak kryształ, nie daleko z tamtąd wypływało, szemrząc cicho i żałośnie, jakby w niem utonęły wszystkie jęki i skargi, które tu dzisiaj z piersi ludzkich o niebo uderzyły. Dalej nurty jego słabiutkie, pełne były krwi i kału rozmaitego, pod skałą jednak, która niby czapka naprzód się wysuwała, była studzienka naturalna, nie większa od dobrej donicy, ale zawsze pełna wody świeżutkiej. W kasku dragona zabitego przyniósł wody Leons jak mógł najprędzej i pomału, podpierając ramieniem opadającą głowę rannego, wlewał mu wodę w usta z gorączki poczerniałe. Nie wiedział wprawdzie, czy to higienicznie, ale nie śmiał odmówić ostatniej może prośbie konającego przyjaciela.

Gdy do ostatniej kropli wodę wysączył, Maurycy głowę na ramię Leonsa opuścił, a na twarz jego, dotąd śmiertelnie bladą, niby lekki cień rumieńca wystąpił. Zdawało się, jakby wodą pokrzepiony usypiał.

Leons, chociaż z wstrętem, zdjął płaszcz z dragona zabitego i zwinięty wsunął pod głowę rannemu, potem jeszcze czas jakiś wpatrywał się bezmyślnie w purpurę nieba, coraz w głąb zapadającą, gdy tymczasem, naprzeciw, niby lampa umbrą ciemno - czerwoną przyćmiona, ukazywał księżyc w pełni twarz swoją pyzatą, a niebo w około szarzało; wreszcie sam uczuł się śmiertelnie znużony i skłoniwszy głowę, usunął się na murawę i zasnął twardo.

Gdy nazajutrz obudził się w jakiejś długiej, wąskiej sali, podobnej do refektarza w klasztorze, na łóżku wąskiem, ale dość wygodnem i czysto zaścielonem, sam nie pojmował, jakim cudem dostał się tutaj.

Skoro zmrok zapadł i cichość w około zapanowała, wyjechały wozy z miasteczka P., pod dozorem chirurgów i siostr miłosierdzia, aby rannych, dających znaki życia, do ambulansu pozabierać. W ich liczbie był Leons śpiący jak kamień, i Maurycy, słabo wprawdzie, ale dotąd oddychający.

Klasztor po Reformatach, służył za ambulans podczas wojny; było tu jasno i przestronno; do okien zaglądały drzew konary, na teraz przez pół z liści ogołocone; oko chorych spoczywało na trawnikach prześlicznie w ogrodzie utrzymanych, mimo pory spóźnionej, i na klombach, pełnych kwiatów jesiennych wprawdzie, ale nie mniej dla oka ponętnych. Budynek klasztorny, i piękny ogród, był od rewolucji z roku 1793 w ręku magistratu miasteczka P.

Gdy chorych opatrzono i położono, jedna z siostr nowo zaciężnych, wydała krzyk bolesny na widok Leonsa i padła zemdlona. Gdy wróciła do przytomności, nie chciała mówić wyraźnie, ale prosiła ze łzami, żeby pod jej zarząd oddano tego chorego, a ona go pewno dopilnuje lepiej niż ktokolwiek, i uprosi u Boga, powrót jego do zdrowia.

Przystano na jej żądanie.

Właśnie wsunęła się jak cień lekko do sali, z filiżanką buljonu dla chorego, gdy Leons oczy otwierał, spozierając ciekawie w około.

Z szeroko rozwartą źrenicą, wpatrywał się Leons w tę postać wychudłą, w te duże, czarne oczy, jakby z dwóch jam głębokich wyglądające, w tę twarz bladą, zapadłą, w te usta bolem ścięte. Gdzie i kiedy, widział on tę osobę?

— Może byś pan pokrzepił się gorącym buljonem? — przemówiła cichutko, spuściwszy w dół oczy z pokorą.

Leons uniósł się trochę na łokciu:

— Czy mnie wzrok myli? — zawołał — czy też istotnie ciebie widzę w stroju Szarytki panno Chênois?

— Więc mnie pan jednak poznałeś? — drżącą ręką postawiła filiżankę na stoliczku, a sama zasłoniwszy twarz dłońmi, z głuchem łkaniem przy łóżku na kolana upadła.

— Teraz to już nic pan odemnie nie przyjmiesz — z płaczem dalej mówiła — a ja chciałam tak serdecznie służyć ci, i choć w części przebłagać, za to, com uczyniła. Od tej chwili nieszczęsnej nie miałam spokoju. Jam pana tak gorąco kochała.

— Powiedz że mi pani, co cię aż tu zapędziło? — przerwał jej Leons. — Teatr wojny, nie jest wcale miejscem stosownem, dla świetnych jak ty motylków.

— O! — smętnie głową potrząsła — motyl, jak pan widzisz, przemienił się napowrot w szarą gąsienicę. Ciężko, bardzo ciężko Bóg mnie pokarał, za krzywdę panu wyrządzoną.

Tu zaczęła opowiadać znane nam wypadki, wreszcie tak zakończyła:

— Gdy widziałam, że Isaak Levy, nie wymknie się na świat więcej, pobiegłam pędem po moje djamenty; ale jak nasze przysłowie powiada: „*A voleur, voleur et demi!*“ Durand widocznie zakradł się tam przedemną, i z mojemi brylantami udał się wprost do Ameryki, bo odtąd słych o nim zaginął. Zemdloną, znaleziono mnię w pokoju Isaaka, i jako jego wspólniczkę przymknięto. W ten sam dzień atoli, musiano mnię oddać do szpitala, gdyż w skutek tych wszystkich wstrząśnień, dostałam zapalenie mózgu. Ogolono moje długie warkocze, przeszłam wiele nędzy i poniewierki, ale doświadczyłam nie mniej, że są anioły na świecie, i że cnota, to przecież rzecz bardzo piękna, dla której warto wiele poświęcić. Czy uwierzysz pan, że nie tylko hrabina

Kervadek, ale nawet, ta święta Blanka de Nangis, odwidzały mnie w szpitalu, znosiły co mogły, wreszcie wydobyły z więzienia, a hrabina Irma przywiozla mnie rekonwalescentkę z sobą do Paryża. Tu, skoro się uczułam cokolwiek na siłach, udałam się z prośbą do przełożonej Szarytek, aby mnię wzięła, jako nadliczbową pomocnicę. Oto cała moja historja. Ale co pana aż tu nad Loarę zapędziło? Czyż Blanka nie znalazła dość miłości w sercu, aby przybaczyć, co tak łatwo przychodzi kobiecie szczerze kochającej, gdy się czuje nawzajem kochaną? Czy nie oddała panu owej pamiątki przezemnie zniszczonej? Przecież mogła po raz drugi, obdarzyć pana kwiatkiem białym i kosmykiem swoich złotych włosów?

— Blanka spełniła misję istoty wyższej po nad ziemskie namiętności, istoty szlachetnej, podającej rękę upadłemu i pocieszającej go w nieszczęściu. Pamiątki najdroższej wrócić mi nie mogła, bo rękę, która mi niegdyś z błogosławieństwem medaljon kładła na piersi, dawno już zimna ziemia przysypała, i dawno serce zastygło, które niegdyś tak mnię gorąco kochało! Złamałem przysięgę, daną matce umierającej i umarła zabrała mi jedyną po niej pamiątkę.

— Boże! — jęknęła Heloiza — więc moja wina większa niż myślałam! Ten medaljon matka panu dała?

— Matka z promykiem włosów swoich, a kwiat biały z jej trumny zdjąłem. Blanka tyle zrobiła, iż mnie wstrzymała rozpaczającego nad brzegiem toń wodnych, w których śmierć znaleść chciałem! Wskazał gdzie mogę z honorem tej śmierci szukać, jeżeli cień matki zagniewany, inaczej przebłagać się nie da, i na pożegnanie, aby mi sił dodać, przysłała mi coś od siebie, czego mi nie wolno oglądać, chyba gdybym był ranny śmiertelnie. Drogocenny mi ten dar z jej ręki, ale to nie mój talizman święty!

Ciężko westchnął i głowę na poduszki opuścił.

— Matka panu już przebaczyła! — Heloiza podniosła na niego wzrok pełen nadziei. — Wszak chwilę zapomnienia okupiłeś żalem szczerym i tylu trudami, które w tej wojnie ponosisz. Zresztą — cicho szepnęła — kto wie, jakiej sztuczki szatańskiej użył de Lussac wówczas, aby pana oszołomić? Wiem, że mnie, na imieninach jednej z moich koleżanek, dał w kieliszku szampana coś takiego, żem się aż w trzydzieści sześć godzin obudziła... a obudziłam się zgubioną i zhańbioną przez tego łotra, który potem drwił jeszcze z łez moich i dzikiej rozpaczy. W dużym sygnecie miał on kryjówkę na różne trucizny w tym rodzaju. Nie trać nadziei panie Leonsie. Znajdziesz talizman najpewniejszy w oczach Blanki i w jej sercu anielskiem.

— A cóż pani myślisz zrobić ze sobą po wojnie?

— Prawdopodobnie zostanę u Szarytek, jako pomocnica, bez ślubów składania. Nie pożałują mi chleba kawałka i lichej odzieży. Siły moje stargane, zdrowie zniszczone, a i humor nie do sceny — boleśnie się uśmiechnęła. — Ślubów bym nie wykonywała, bo czuję, żebym kłamala. Tak dalece nie wzięłam jeszcze rozbratu ze światem, żeby aż mieć do życia klasztornego powołanie. Czuję jednak w głębi] duszy, że gdyby ktoś szlachetny chciał mi zaufać, chciał mnię dźwignąć silną dłonią z upadku, byłabym mu jak pies wierną i przywiązana, a gdyby Bóg mnie uznał godną, mieć własne dzieciątko, byłabym pewno najlepszą z matek...

— Jest ktoś taki — szepnął Leons — i to blisko nas. Pamiętasz pani jedną z twoich ofiar, Maurycego d'Aubigny? Ten do dziś kochać cię nie przestał i wierzy, że mogłabyś zmienić się w uczciwą, wierną towarzyszkę życia, gdybyś szczerze chciala. Tylko ostrożnie, bo i zbytek radości zabija. Maurycy jest ciężko ranny, wiem jednak, że dotąd żyje. Oto tam leży — wskazał ręką na jedno z łóżek trochę opodal. — Idź i pielęgnuj go pani, a potem osłodź mu jego los tułaczy, jeżeli żyć będzie. Ja ci wszystko z serca przebaczam.

Heloiza przycisnęła usta do ręki chorego, która z łóżka zwisała, w najwyższem uniesieniu.

— Dzięki, dzięki! — załkała — a jeżeli Maurycy wyzdrowieje i zechce mię za żonę, przysięgam proch zmiatać z przed jego nóg!

I znowu jak cień lekko po sali się przesunęła. Odtąd nie opuszczała łóżka Maurycego, który długi czas w malignie nikogo nie poznawał, aż wreszcie dnia pewnego, po silnej kryzys, usiadł na łóżku, wpatrzył się ciekawie w Szarytkę obok siedzącą i szepnął cicho:

— Czy to ty, czy tylko twój cień Heloizo?

— Ja sama... od twojej jednak woli zależeć będzie mój drogi, czy mam zostać dla ciebie rzeczywistością, i więcej cię w złej czy w dobrej doli nie opuścić, czy też zniknąć ci z oczu jak cień, skoro usług moich nie będziesz więcej potrzebował.

— Zostań, zostań! — Maurycy wyciągnął do niej drżące ramiona, i ze łzą w oku do piersi jej główkę przycisnął. Leons już prawie zdrów zupełnie, odwrócił się szybko w inną stronę, udając, jakby zupełnie tego nie widział. Cieszył się jednak niewymownie, że potrafił sprowadzić tych dwojga ludzi, gdyż czuł i on, że jeszcze mogliby być razem szczęśliwi.

XX.

ŚWIETNA PARTJA.

Po długich, długich miesiącach wojny, po strasznych dniach ucisku i trwogi, niepewności, przeplatanych zrzadka słabym promykiem nadziei, Blanka powróciła wreszcie do Paryża i znalazła się w ukochanym pokoiku, naprzeciw portretu prababki. Bledszą była i jakby wielce zmęczoną, cierpienie jednak wyszlachetniło jeszcze jej rysy, nabrała pewności w obcowaniu z ludźmi, i nic nie uroniwszy z wdzięku, który ją dawniej odznaczał. przydała do niego urok nowy, rzewną powagę boleści przebytej.

Spojrzała na obraz, który latami był jedynym towarzyszem i powiernikiem jej myśli najskrytszych:

— Czy ty wiesz — szepnęła — ilem ja wycierpiała, czy ty mnie rozumiesz?

I przytuliła główkę do piersi malowanej, a łzy obfite na łono płócienne spływały.

Odszedłszy od obrazu przystąpiła do okna. Róż na niem nie było. Poschły podczas Blanki niebytności. Poczciwy Baptist, kilkudziesiątletni kamerdyner pani de Nangis, i tak cudów dokazał, że podczas oblężenia i pożaru Paryża, uchował nie tylko pałac w całości, ale i park za pałacem nie padł pod ostrzem siekiery. Zaciszne miejsce, oddalone od wnętrza miasta, wielce mu w tem było pomocne.

Jakby przez wdzięczność, że je oszczędzono, drzewa stuletnie, wcześniej w tym roku, niż zwyczajnie, okryły się majową zielonością, ptaszęta wesoło w ich konarach rozłożystych świegotały, a słowiki stroiły gardziołka do przyszłych koncertów.

I dom naprzeciw miał swojego ducha opiekuńczego. Jak cień snuła się po nim stara Gertruda, albo wyglądając ukochanego panicza, czy przecież kiedyś nie wróci, lub siedząc w oknie z nieodstępnym kołowrotkiem, i składając motek za motkiem, nici cieńkich i równych. Oboje staruszkowie, w gorliwości swojej dla państwa, przetrwali szczęśliwie całą grozę i głód podczas oblężenia miasta. Do cichego ich zakątka, z rzadka wieść jaka trwożąca i dochodziła, chyba z daleka huk armat wstrząsnął szaremi starych domów murami, lub wieczorem, łuna złowroga zalśniła purpurą, to w tej, to w owej części miasta.

Musimy się jednak wstecz cofnąć, i opowiedzieć co się działo z naszymi znajomymi, gdyśmy ich wszystkich razem w Wiesbaden zostawili.

Skoro wypowiedzenie wojny zostało urzędownie ogłoszone, przemarsze wojsk pruskich, wypędziły wszystkich z Wiesbaden. Margrabina de Naugis przez brata wiedziała wcześniej od innych na co się zanosi; nie czekała więc utrudnienia komunikacji i pospieszyła razem z braterstwem do Paryża. Tu musiała zostać czas jakiś dla uporządkowania interesów, córkę zaś wysłała z poczciwym Babtystem i nieodstępną od niej pokojówką Rózią, najwierniejszą i najprzywiązańszą do swojej „kochanej panienki“ (jak zwykle Blankę nazywała) do stryjenki, która od dawna z utęsknieniem czekała na bratankę męża, i jak sądziła, na przyszłą swoją synowę.

Hrabina Laura de Nangis, (młodsza linja nosiła tytuł hrabiowski) była to najlepsza w świecie kobiecina, serdeczna, miłosierna, zupełnie jednak biernej natury, nie zdolna żyć samoistnie, potrzebująca wiecznie kochać kogoś niewolniczo, słuchać go ślepo, i uważać za bóstwo nieledwie. Po śmierci męża, takiem bożyszczem stał się dla niej syn jej jedyny Raul. Widziała w nim wszelkie przymioty i wszelkie doskonałości. Ponieważ de Nangis, należał do tak zwanych *epuzerów*, że był pod każdym względem świetną partją, tak co do majątku, jak i co do urodzenia, nie brakło mu pochlebstw i z innych stron. Wszystkie panny na wydaniu oczka do niego zawracały, mamy i ciocie robiły mu najwidoczniejsze awanse i nektarem słodkich słówek upajały.

Blanka mimo smętnego usposobienia, nie mogła nigdy bez śmiechu serdecznego przypomnieć sobie pierwszego spotkania w domu stryjenki, z owym kuzynkiem, którego dotąd widywała tylko u swojej matki, *en grande tenue*, gdy oddawał tejże obowiązkowe, zawsze nader krótko trwające wizyty.

Stryjenka przywiozła ją sama ze stacji kolei, i zaraz zaprowadziła do eleganckich dwóch pokoików, w których Blanka miała wraz z matką zamieszkiwać. Ucałowawszy bratankę raz jeszcze najserdeczniej, oświadczyła, że skoro Blanka będzie gotowa, podadzą herbatę na dole, w sali jadalnej, przez którą idąc na pierwsze piętro przechodziły.

Blance nie wiele czasu potrzeba było, aby uporządkować toaletę, a że obok sali, zauważyła przechodząc mały gabinecik, pełen dzieł ilustrowanych, zeszła prędko na dół, aby zapoznać się bliżej z temi skarbami. Przestraszona atoli, chciała się cofnąć od progu, tak niezwykły widok przedstawił się jej oczom.

Na długim, miękim fotelu a raczej łożu *á la romaine*, z wałkiem ruchomym pod głową, a z podnóżką wypolstrowaną pod nogami, leżał rozciągnięty w całej swojej niepośledniej długości, raczej rozebrany niż ubrany... kuzynek Raul. Z oczami na pół przymkniętemi, smolił *trabukosa*, wypuszczając dym nozdrzami, jak foka wodę wypuszcza. Gdy spostrzegł zawahanie Blanki, nie ruszywszy się wcale z wygodnego legowiska, skinął jej ręką leniwo i zagadał przez nos, z pańska, swoim nieznośnym, chrapliwym organem:

— Witaj mi kuzyneczko, bliżej, bliżej, nie żenuj się, proszę, widzisz, że ja od razu uważam cię za domowę, nie za gościa, i występuję cokolwiek w negliżu. Nienawidzę w kółku domowem wszelkiego przymusu. Czy nie dość nudów śmiertelnych, które człowieka wśród *Penat* domowych napadają! Zresztą, jestem kompletnie zabity — westchnął ciężko — dżokej mi zachorował, i musiałem sam dzisiaj przez ośm godzin mojego *Blanck'a* tresować, aby z wprawy nie wyszedł. Kości w sobie nie czuję! *Sacrématin!* psia robota, takie tresowanie! Proszę o rączkę na powitanie kuzyneczko.

I z nonszalancją nie do opisania, wyciągnął swoje długie, chude palce do uścisku.

Blanka oburzona, ale i rozśmieszona zarazem tą gburowatością i przyjęciem oryginalnem, skinęła głową bardzo zimno, i jak mogła najdalej, usunęła się od lubego kuzynka i chmur dymu, które go otaczały.

Założył *pince-nez*, jakby chciał się jej lepiej przypatrzeć:

— Nie chcesz mi dać rączki? — odezwał się znowu przeciągle — mniejsza o to. Jest to zwykła skromność dziewicza, znamy się na tem i umiemy takie kaprysiki uwzględnić. Ha! ha! ha! forteca tem drogocenniejsza, im dłużej zdobywać ją trzeba, chociaż wie się z góry, że poddać się musi. *Apropos* kuzynko, wszak umiesz po angielsku? Przeczytam ci najnowszego *Puntch'a*. Boskie koncepta! pękać trzeba od śmiechu. Co? Nierozumiesz po angielsku? Toż cię szczerze ża-

łuję. W naszej ubogiej mowie, nie można oddać tego całego *fion*, który tkwi w tych dowcipach.

W tej chwili, jakoś żywszy ruch zrobił, i pantofel z prawej nogi spadł i potoczył się dość daleko od fotelu. Raul z niecierpliwością uderzył w dzwonek, obok, na stoliku postawiony, i przytem spojrzał błagalnie na Blankę, jakby od niej oczekiwał tej małej przysługi. Gdy jednak nikt ze służby nie przybywał, a Blanka również oczu nie podnosząc, kartki najobojętniej w albumie przewracała, zdecydował się wreszcie powstać. Zgiął swoje hrabiowskie krzyże, i raczył własnoręcznie podjąć i założyć pantofel safianowy, na ponsowe, jedwabne szkarpetki, wychodzące z szerokich, flanelowych szarawarów, w tym samym kolorze.

— Co to za podła *kanalja!* — mruczał przez zęby, upadając nazad na fotel — trzymam tego całą trzodę, latają gamonie po domu, jeden drugiemu na pięty następuje, a pod ręką do usługi nie ma żadnego! Napędzę lada dzień psiarstwo na cztery wiatry, a całą służbę z Anglji zapiszę.

— Czy prędko podadzą herbatę? — wtrąciła Blanka, chcąc przerwać potok wyrzekań.

Zapytany ziewnął szeroko i wyciągnął ramiona, aż w stawach zatrzeszczało.

— Przyznam się kuzyneczce, że nie znam tutejszych wieczornych obyczajów. Dziś wyłącznie spędzam wieczór w domu, aby tobie dotrzymać towarzystwa.

Spojrzał na nią tak znacząco, jakby się spodziewał nagłych mdłości, gdy usłyszy o tak wielkiem poświęceniu, lub przynajmniej wylewu czułych słów dziękczynnych. Gdy nic z tego nie nastąpiło, wzruszył litościwie ramionami, i tak dalej ciągnął:

— Zwykle spędzam wieczory w najbliższem miasteczku C. Głupia co prawda dziura. Ot! choć w bilard sobie człowiek zagra w kawiarni, puści się w *Faraonka*, posłucha jakiej paryskiej bestyjki, mocno wydekoltowanej. Czasem te ich piosneczki, prawie takie, jak *Puntch* zabawne. No, no! nie krzyw się kuzyneczko, i nie odwracaj odemnie. *Sapristi!* zapomniałem, że każda z naszych dziewic salonowych, ma na uszach i oczach po parze skrzydeł archanielskich, przez których śnieżne pióra wolno jej jedynie na świat patrzeć. Ja bo też systematycznie od panien uciekam. Z niemi, nietylko ręce, ale i język, trzeba mieć urękawiczkowany. No, to zresztą nie wasza wina, że was na takie *Saintes-Nitouches* wychowują. Ale jeżeliś głodna, zjedz ze mną suchych konfitur. Powiadam ci wyborne! Prosto od Sarottego sprowadzam. Moja wyżlica *Myledi* już się je także doskonale jeść nauczyła.

Nie podnosząc się z fotelu, wyciągnął długie, chude ramię przez stół, z pudełkiem blaszanem, pełnem owoców kandyzowanych.

— Co to za cudo, ta moja wyżlica! — prawił dalej. — Ja bo pasjami lubię psy dresować. Woltiżuje jak psy u Renca. Pokażę ci ją jutro. Dziś tylko nie żądaj tego odemnie kuzyneczko, gdyż jestem istotnie zabity!

Stęknął i ziewnął szeroko.

— Och! niema nic pilnego — zapewniła ze śmiechem Blanka.

— Wielki przymiot taka wytrzymałość! — raczył hrabia zauważyć. — Nasze panie z sąsiedztwa, to spokoju mi nie dają. Wykrzyknikom podziwu, nad moją Miledy i nade mną, końca niema. Czasem mnię już nudzi ta admiracja bez miary.

Blanka obrzuciła wzrokiem litościwym, tę postać chudą, długą, tę twarz zmiętą jak stara podszewka, te rysy bez wyrazu i oczy rybie bez blasku, ciężko westchnąwszy na myśl, jakto świat przyzwyczaił się wybijać pokłony przed cielcem złotym. W tej chwili weszła stryjenka:

— Daruj dziecię kochane — zawołała od progu, do Blanki zwrócona — że tak długo kolacji nie podają. Miałam ważne listy do pisania i tak się dziś wszystko zapóźniło.

— Och! — odrzekła Blanka z uśmiechem — hrabia był tak łaskaw bawić mnię nader interesującą rozmową o trenowaniu koni i psów dresurze; przytem i swój zapas konfitur ze mną podzielił, które zwykle zjada Miledy.

— Hrabia?! Ależ dzieci, mówcież sobie przecież po imieniu — wtrąciła hrabina i zbliżyła się do syna leżącego nieruchomo, aby na jego czole wycisnąć długi, serdeczny pocałunek.

— Rulciu, mój aniołku — ośmieliła się matka odezwać — czyś nie nadto w negliżu? Blanka do tego może nieprzyzwyczajona?

— To się przyzwyczai. Mama wie, że moją dewizą jest: nikogo nie żenować i przez nikogo nie być żenowanym. Zresztą daję tem dowód Blance, że ją uważam, jako ściśle do nas należącą.

— A tak, tak! — matka głową przywtórzyła — kochany chłopiec! co to u niego za złote serce! Mówię ci duszko, czyste, szczere dziecko ten mój Rulcio! Poczciwe, niezepsute, choć do rany go przyłóż!

Blanka pomyślała w głębi duszy, że dziecko tak źle wychowane, potrzebowałoby jeszcze dobrej dyscypliny, aby przyjść do rozumu, ale uwagi te dla siebie zatrzymała.

Kamerdyner drzwi otworzył zapowiadając: „że dano do stołu.“

— Rulciu, kochanie! — matka pieszczotliwie poklepała synka po ramieniu — podajże rękę Blance i przejdźmy do sali jadalnej.

— Jeżeli zechce — mruknął Raul podnosząc się leniwo. — Na powitanie rączki mi nie dała.

— Boś pan nie raczył wstać nawet gdym wchodziła.

— Biedasio! Ośm godzin spędził na koniu. Musisz mu wybaczyć ten raz Blanko. Jak go bliżej poznasz, zobaczysz, co to za złoty chłopiec! Pokochasz go niezawodnie, bo i któżby mego Rulcia mógł nie kochać!

Tak wytłumaczywszy jedynaka, przeszła wraz z gościem swoim do sali jadalnej i na tem zakończył się pierwszy wieczór.

Wkrótce i margrabina przyjechała. Tutaj przynajmniej groza wojny nie dochodziła i hrabina Laura ani mówić nie chciała o rozłączeniu się z bratową ukochaną, póki wojna trwać będzie.

Hrabina Kervadek, najprzód chciała dzielić jako amazonka trudy męża wojenne, ledwie nieledwie dała to sobie wybić z głowy, i udała się na Węgry, do krewnych.

Skoro ją jednak doszła wieść straszna o klęsce pod Sedanem i o męża uwięzieniu wraz z cesarzem Napoleonem III. i niemal całą armią francuzką, przyleciała do Berlina i tam była nieodstępną męża towarzyszką chociaż z daleka, starając się swojemi wpływami, jako bliska krewna ks. Metternicha, o ile możności osładzać przykrą zawsze niewolę nietylko mężowi, ale i innym więźniom francuzkim.

Margrabina de Nangis dziwnie się zmieniła po zemście dokonanej. Łagodna, czuła, kochająca, radaby była córce dać zapomnieć o latach całych, bez jej pieszczot, przebytych zdwojoną teraz troskliwością i miłością. Stała się jej najwyrozumialszą powiernicą. Powoli dowiedziała się o całym wypadku w ów wieczór w Wiesbaden; pochwaliła w zupełności postępowanie z Leonsem, i dawała do zrozumienia, że niech tylko wróci z chlubnem świadectwem od przełożonych, a da się przebłagać, i zapomni o kilkowiekowej rodowej nienawiści.

Czuła się okropnie upokorzoną upadkiem Francji chwilowym; to też z dumą usłyszała, że Leons przeszedł do *Franctireurów*, i bije się dalej.

— Dzielny chłopak, — szepnęła — nie darmo w nim płynie po kądzieli krew rycerska Nangisów.

Co do świetnej partji, za jaką i ona do niedawna uważała hrabiego Raula, rozczarowywała się co dzień więcej.

Nie mając na oczach potrójnej katarakty, która biedną matkę oślepiała w codziennem pożyciu, nie jedno dostrzegła, co jej się wielce niepodobało. Olbrzymi egoizm, nieuctwo, brak zupełny uczuć podniośleljszych, zszarzana młodość w brudnej częstokroć rozpuście, oto, co ją w Raulu na każdym kroku uderzało. Myślała ze zgrozą, iż tak, jak wiele matek nieroztropnych, gotową była rzucić czyste dziecię swoje na łup rozpustnikowi, znając go li w salonie i nie starając się wniknąć w tajniki życia jego.

Z hrabiną Laurą, którą szczerze kochała, politykowała jak mogła, zbywając mi tem, ni owem, jej częste aluzje: „do tych lubych, kochanych naszych dzieci, tak pięknych, tak dobranych.“

Onieśmielony bytnością margrabiny, Raul wprawdzie ani w szlafroku się nie pokazywał, ani nawet cygar nie palił w jej obecności, za to też tem częstsze wycieczki do miasteczka C. sobie po dawnemu urządzał. Pusto tu było. Młodzież męska była bądź w niewoli, bądź w szeregach dotąd się bijących; kobicty we łzach tonąc, szarpie dla rannych skubały i bandaże szyły. Raul jednak i teraz nie był bez towarzystwa. Znalazł sobie kółko graczów i z nimi noce całe przepędzał.

Raz wreszcie, mimo całej dyplomacji margrabiny, przyszło do wybuchu gwałtownego. Po obiedzie, z flegmą zęby wykłuwając, zaczął wyrażać się z lekceważeniem: „o tej zgrai szaleńców, którzy jeszcze ciągle pożogę wojny po kraju roznoszą, drażnią niepotrzebnie Prusaków i nie warci lepszego losu, jak ten, który im wojsko nieprzyjacielskie gotuje, rozstrzeliwając bez pardonu, gdziekolwiek złapią jakiego *Franctireura*.“

Blanka blada śmiertelnie, serce dłonią przycisnęła Ust otworzyć nie zdołała, taki ból w piersi uczuła. matka jej atoli zerwała się oburzona:

— Dość smutno, panie hrabio — przemówiła głosem drżącym z gniewu — że w tobie sportsman angielski, zabił ducha rycerskiego, który niegdyś był wielką tradycją rodu twojego. Siedzisz za piecem, trenując konie i w karty grając z prostymi szulerami, gdy ojczyzna twoja gorzej niż we krwi, bo w błocie hańby się tarza. Nie idzie za tem, żeby ci wolno było językiem świętokradzkim, ubliżać tym nieustraszonym, którzy na sztandarze swoim wypisali: „Zwyciężyć lub zginąć.“ — którzy jedni ratują zbezczeszczony honor Francji. Pan nie godzien jesteś pojąć ich uczuć, nie godzien zmierzyć ich wielkości. Karłom zniewieściałym, wara od Tytanów! Rozumiesz hrabio?

Zmięszany w najwyższym stopniu, Raul zaczął bełkotać jakieś tłumaczenie, którego już margrabina nie słuchała, gdyż odeszła natychmiast oparta na córce, do swoich pokoi.

— *Vieille genache*! — mruknął przez zęby w swoim poetycznym języku Raul, a zakląwszy w dodatku potężnie, wyszedł drzwiami trzasnąwszy i na całą noc do C. wyjechał.

Odtąd stosunek między dwiema matkami stał się nader oziembłym. Zaślepiona w najdroższym jedynaku pani Laura, nie mogła darować tak ostrego przemówienia, chociaż margrabina była jej długoletnią przyjaciółką; nawzajem margrabina, nie dotykała więcej tej kwestji drażliwej, ale też i nie cofała słów swoich.

Na szczęście miało się już ku wiośnie, i od hrabiny Kervadek pierwszej przyszły wieści, o mającym nastąpić pokoju. Został zawarty, hańbiący, upokarzający, odrywający od łona Francji dwie prowincje, odwiecznie do niej należące, żądający bezczelnie miljardów, za to, że wrogi niszczyli ją miesiącami, roznosząc w okół śmierć i pożogę, ale zawsze było to niby odetchnienie po burzy, owe uczucie, które nas ogarnia, gdy wyniosą drogie zwłoki po trzech dniach z domu i gdy wracamy z pogrzebu do tego domu sierocego, mówiąc sobie: „Ha! najgorsze już się przebyło.“

Francja jednak wielką i możną została, a Prusy, mimo miljardów z niej zdartych, stanęły do lat kilku prawie na pochyłości bankructwa.

Pisała Irma, że w tych dniach wraca z mężem do

Paryża, który jest wolny, jak i reszta jeńców francuzkich, i że spodziewa się zastać tam panie obiedwie. Gdy i stary Baptist potwierdził, że Paryż zupełnie spokojnie wygląda, margrabina podziękowawszy czule, za tylomiesięczną gościnę, wyjechała do siebie.

XXI.

POWITANIE.

I znowu natura przybrała się godowo, niby panna młoda do ślubu; w ogrodach pełno było woni bzów i jaśminów, słowiki wywodziły pienia miłosne, a i w sercu Blanki było dziwnie jasno, dziwnie wesoło.

Od wczoraj poczciwa, stara Gertruda, krzątała się ze zdwojoną gorliwością, gdyż Nikol, młynów dozorca, który miewał od czasu do czasu wiadomości Leonsa, doniósł, iż ukochany jej panicz lada chwila zdrów powróci. Z tą wieścią radośną wpadła Rózia do swojej panienki skoro świt.

Wiedziała ona od dawna co się święci, a że i jej najmilszy *Jacque*, poszedł ze swoim panem do *Franctireurów*, podwójnie była w tej sprawie interesowaną.

Nikol przygotowywał Leonsowi miłą niespodziankę. W beczkach, smołą oblanych, potrafił z kilkoma zaufanymi, tak szczelnie w ziemi ulokować mąki zapasy, iż jak kruki chciwi żeru Prusacy, nic znaleźć nie mogli. Dziś, przy nadzwyczajnych cenach, można się było tysięcy zysku spodziewać. I w młynach gotowano się na uroczyste przyjęcie pana ukochanego; wszędzie zwieszały się zielone festony, wszędzie cyfra jego z kwiatów uwita jaśniała.

Noc tymczasem zapadła, a gość tak niecierpliwie oczekiwany, jakoś nie przybywał.

Nazajutrz raniusieńko, wśliznął się *Jacque* do ogrodu naprzeciw i zobaczył Rózię, wychodzącą po wodę z koneweczką. Krzyknęła radośnie na jego widok.

— Jesteśmy, jesteśmy Rózieczko, umyślnie w nocy mój pan przyjechał, aby uniknąć wszelkich powitań. Smutny jest i przybity — mówił Jacque dalej — że się tak wszystko źle skończyło. Ja bo już kontent, że się wojna przerwała, bo to jak Boga kocham! do niczego. A twoja panienka Róziu, czy myśli zawsze o moim panu?

Rózia ze zwykłą u kobiet dyplomacją, odpowiedziała półgębkiem, zachęcając jednak, aby pan Leons jak najprędzej do nich przyszedł.

W białą, pikową suknię ubrana, stała w oknie Blanka w swoim pokoiku i z bijącem sercem wpatrywała się portret ukochany. Oczy prababki tak słodko na nią patrzeć się zdawały, tak były rozpromienione. Czy przyjdzie ją powitać, czy o niej nie zapomniał?

Dzień był jak na tak wczesną wiosnę, niezwykle gorący. Właśnie chciała zejść Blanka do ogrodu, by tam w cieniu drzew chłodu poszukać, gdy z miną nader uroczystą weszła matka.

— Czy wiesz kto jest u mnie? — przemówiła — hrabia Raul. Nie dał za wygranę i ze zwykłą sobie arogancją, przyjechał ni ztąd ni z owąd, oświadczyć się o ciebie. Oto list jego matki. Cóż ty na to dziecię?

Jakby piorunem ze słodkich marzeń zbudzona, Blanka struchlała i rzuciła się z głośnym płaczem matce na piersi.

— Mamo, mamo, jak możesz mnie pytać nawet. Wiesz, czyj obraz w sercu mojem gości. On powrócił mateczko, powrócił i może lada chwila tu będzie.

— Więc panu hrabiemu damy odprawę grzecznie ale stanowczo — margrabina jasną główkę do serca przycisnęła. — Na ołtarzu szczęścia twojego dziecię, gotową jestem złożyć w ofierze moje dumne marzenia, o świetnych losach dla ciebie. Przypatrzywszy się z bliska Raulowi, przyszłam do smutnego przekonania, że nie zawsze potomkowie wielkich rodów, godni są nazwiska, które los ślepy rzucił im do kołyski. Idź więc za głosem serca dziecino i bądź pewna mojego błogosławieństwa w tym nowym zawodzie.

Za chwilę hrabia Raul, więcej zdziwiony i oburzony niż zmartwiony, rzucił się na poduszki wytwornego powozu, mrucząc gniewnie pod nosem:

— Co za głupie gęsi, matka i córka! A wszystkiego moja matka narobiła. To tak bab słuchać! Mnie, hrabiemu de Nangis, dawać odkosza! Opędzić się nie mogę kobietom, tak się o mnie dobijają, rozrywają formalnie, podziwiają mój spiew, mój taniec, notują w pamięci niemal każde słowo moje, a ta głupia Blanka, jedna, o którą zdecydowałem się wreszcie oświadczyć, nie chce mnie i odrzuca tak wielkie szczęście. To doprawdy nie do pojęcia!

Sięgnął do pudełka, z którem nigdy się nie rozłączał, ale rzecz szczególna! chociaż owoce sprowadzał od najlepszego cukiernika, z tak zwanej *„premiere qualité,“* brzoskwinia, która na oko wyglądała ponętnie i różowo, gdy zapuścił w nią długie i ostre zęby, wydała mu się dziwnie... gorzką.

Ze złością wyrzucił przez okno najprzód konfiturę, następnie wyjął z pularesu Blanki fotografję:

— A szkoda — syknął przez zęby zaciśnięte. — Co ładna, to ładna bestyjka! Ej! co tam — machnął ręką pogardliwie. — Czy to ona jedna na świecie? Niech to wszystko djabli biorą!

I w kawałki rozdarłszy fotografię, wyrzucił tą samą drogą co konfiturę.

Blanka tymczasem zeszła do ogrodu, aby w zupełnej samotności ukoić cokolwiek niepokój, który o mało że serca i główki jej nie rozsadził.

Jaka tu błoga cisza panowała. Trawniki wyglądały niby puszysty, zielony aksamit, woń upajająca powietrze napełniała, ptaszęta radośnie świegocąc latały na około tej białej, zadumanej dzieweczki, tak nieruchomo na pniu zmorszałym nad stawkiem siedzącej,

tak zapatrzonej w jego toń zielonkowatą i w lilje wodne do jej stóp przypływające, jąkby z tamtąd czarowne widziadła wzrok jej nęciły i więziły.

Bez strachu ptaszęta w oczka te piękne zaglądały, jakby ciekawe były, o czem też tak duma ta młoda główka?

Poczciwa Rózia nie mogła dnia tego na miejscu usiedzieć. Co chwila wybiegała na ulicę, badając dom naprzeciw, czy kto z niego nie wychodzi. Wreszcie pokazał się Leons, bledszy i szczuplejszy, ale równie piękny, a więcej niż dawniej pociągający. Oczy jego dziwnym ogniem płonęły, jakby w ich źrenicach odbijał się dotąd blask owych łun pożaru, na które tak często patrzeć był zmuszony. Pierś jego krzyż podwójny ozdabiał. Prosty i oficerski legji honorowej. Szedł przez ulicę krokiem chwiejnym, jakby się wahał. Spostrzegłszy w bramie Rózię, z cicha zapytał:

— Pani margrabina w domu?

— Pani w salonie — Rózia obrzuciła go wzrokiem zdziwionym, i dodała z wielgą powagą, chociaż z oczek figlarny i drwiący *Chochlik* się wychylał — a panna Blanka tylko co zeszła do ogrodu, ot tam nad stawem, widać na murawie jej białą sukienkę.

Leons zbladł, następnie poczerwieniał, i wcale już w oczy Rózi śmiejące nie patrząc, skinął ręką, mruknął: „proszę mnie pani margrabinie zapowiedzieć, za chwilę powrócę" — i puścił się pędem po ścieżce do stawku wiodącej.

— Bodaj tak oboje zdrowi byli! — zachichotała w kułak Rózia — jak oni prędko powrócą! Ta że to niebożęta tak długo się niewidzieli! Niechże się sobą nacieszą i nagadają. Nie głupiam pani go zapowiadać. Jak już wszystko będzie w porządku, niech się sami do mamy pofatygują i poproszą ładnie o błogosławieństwo.

I Rózia z giestem komicznym wspięła się na palce, wyciągając naprzód ręce, jakby u swoich własnych stóp widziała parę klęczącą.

. . . .

. . . .

W trzcinie na stawie koniki polne wydzwaniały dziwną melodję, niby na jakiejś delikatnej gitarze, słowik w krzaku jaśminowym wywodził pieśń miłości, najcudowniejszą, jaką kiedy ucho ludzkie usłyszeć może, a w źwierciadle wody, odbijała się postać dziewczęcia zadumanego, to łamiąc się, gdy wiater wodą poruszał i zmącił powierzchnię, to znowu występując z całym swoim urokiem, niby Rusałka jasnowłosa, która na chwilę rzuciła tonie podwodne.

W tem piasek niedaleko od niej zaszeleściał i wonna gałązka jaśminu upadła na jej łono. Zerwała się drżąca i cała szkarłatem oblana... przed nią stał Leons i z taką niewypowiedzianą miłością, z taką tęsknotą wyciągał do niej ramiona.

Nie znalazła na ustach ani jednego słowa powitania. W obec tego, co jej serce rozpierało, mowa ludzka była za zimną, za ubogą. Jak strwożona ptaszyna ukryła główkę na piersiach ukochanego, pozwoliła się objąć tem silnem ramieniem, które miało ją przez resztę życia wspierać i prowadzić.

Usiedli razem nad brzegiem stawku i dopiero gdy cokolwiek ochłonęli, zaczęła się ta słodka we dwoje pogadanka o niczem i o wszystkiem, wiecznie świeża, wiecznie niewyczerpana, którą zna tylko młodość, ta wiosna życia.

Wszystko w naturze ucichło, aby nie przerywać tego duetu miłości, słowik nawet śpiewać przestał, jakby się wsłuchiwał w rozmowę dwojga zakochanych.

— A pamiątka odemnie — nagle Blanka zapytała. — Czyś jej nie zgubił?

Jasne czoło Leonsa zmarszczyło się ponuro, a w oczach zgasł promień szczęścia.

— Dla czego najdroższa — rzekł z wymówką — przypominasz mi nawet w tak rozkosznej chwili, jedynej w życiu mojem, stratę mojego talizmanu? Czyż myśl o mojej stracie niepowetowanej, ma mi każdą godzinę w życiu zatruwać?

— Nie prawdaż? To okrutnie z mojej strony — uśmiechnęła się figlarnie, patrząc mu w oczy z miłością. — A jednak proszę cię raz jeszcze o mój amulet.

Posłuszny zdjął wstążkę z szyi i podał Blance. W kilku miejscach plamy krwi na niej widniały. Blanka, blada śmiertelnie, zarzuciła białe ramiona na szyję ukochanego, jakby się chciała upewnić, że go widzi żywym przed sobą:

— Twoja krew! — drżąc szepnęła.

— Nie tak wiele jej wypłynęło, a mam za to krzyż oficerski.

— Aleś wtedy nie zajrzał do środka?

— Nie, bo wiedziałem i czułem, że nie jestem ranny śmiertelnie.

Odjęła ramiona i szybko rozpruła wierzchnią obsłonę. Z wyrazem tryumfu podniosła w górę medaljon... Boże! co to za omamienie! czy on jeszcze leży w dusznej sali szpitalnej?... czy dotąd maligna podsuwa jego chorobliwej fantazji widziadła niemożliwe? Nie! wszak owiewa go zewsząd wonne, majowe powietrze, a obok niego, słodko przytulona siedzi Blanka, i trzyma w białej dłoni po matce pamiątkę.

— Zlituj się nademną najdroższa — szepnął trąc czoło — nie przedłużaj tej niepewności, bo zmysły postradam. Wszak widziałem jak woda skarb mój pochłonęła.

— A czyż myślisz, że miłość szczera i gorąca, nie zdolna cudów czynić, nie może zakląć nawet toń wodnych, aby jej zgubę wróciły? — Blanka słodko mu w oczy spojrzała. — Uwierz najdroższy, odbierz twoją własność i bądź zupełnie szczęśliwy. Żebyś jednak nie myślał — uśmiechnęła się figlarnie — że masz z jakąś czarownicą do czynienia, opowiem ci, jak się wszystko stało.

Gdy skończyła, Leons klęczał u jej nóg, łzami wdzięczności ręce jej oblewając. Czuł, że mu ta próba potrzebną była, czuł również, że duch matki czuwa nad nim i że teraz nic już mu do szczęścia nie braknie, bo czyż nie ręka matki wybrała mu tę życia towarzyszkę, skoro Blanka talizman jego odszukała.

— A nie wiesz, co się stało z ową nięszczęsną Heloizą? — spytała po chwili Blanka. -- Myślę, iż popełniwszy czyn tak zdradziecki, nie musiała mieć w życiu spokoju, jeżeli cię istotnie kochała. Przynajmniej zrazu, gdyśmy ją z ciocią Irmą w szpitalu odwidzały, zdawała się niepocieszoną.

— Spotkałem się z nią w P., w ambulansie. Biedny motylek nie mógł wytrzymać prawdziwej burzy życia. Przyzwyczajony był muskać lekko szkrzydełkiem po wierzchu, nigdy w głąb nie zaglądając. Nikła w oczach, chociaż od najcięższych usług przy rannych, do ostatniej chwili nie usuwała się wcale. Wreszcie wybuchł tyfus w szpitalu. i ona pierwsza padła jego ofiarą. A szkoda, bo znalazł się człowiek zacny, tak szczerze ją kochający, iż nie wahał się podać jej dłoni, aby podźwignąć z upadku, i nazwać żoną swoją. Byłaby się może zupełnie odrodziła, po tym nowym chrzcie miłości szlachetnej. Biedny Maurycy d'Aubigny, z którym w obozie ścisłą przyjaźń zawarłem, głównie jej staraniom życie zawdzięczał. Rzewnemi też łzami grób jej pożegnał, postarał się o skromny pomnik, i znowu poszedł w świat samotny, stacząc walkę z ciężkim losem swoim. Ale nie profanujmy najdroższa, chwili tak uroczystej w życiu naszem, wspominaniem o tej biednej istocie. Z serca jej wszystko przebaczyłem, nie mniej jednak, była ona dla mnie błędnym ognikiem, wiodącym na bagna i manowce. Chodźmy do twojej matki najdroższa. Gdy zobaczy pierś moją znakiem honorowym ozdobioną, może mi nie odmówi ręki twojej, bez której świat dla mnie nie miałby już żadnej ponęty. Tyś mojem życiem, mojem szczęściem, całą moją nadzieją!

I poszli ręka w rękę rzucić się do nóg matce, która tak, jak to Rózia przewidywała, wyciągnęła drżące dłonie nad ich pochylonemi kornie głowami, wzywając dla nich błogosławieństwa Boskiego.



XXII.

ZAKOŃCZENIE.

Sierpień był na niebie. Pod palącemi słońca promieniami, łany zielone niedawno falowały złocistą kłosów powodzią; owoc zaczynał się z lekka na drzewach rumienić, winnice lśniły dojrzewającym winogradem.

Gertruda wstała jak zwykle raniutko, obeszła dom cały, wszędzie bacznem okiem rzuciła i wreszcie usiadła w izdebce maleńkiej, obok swojego nieodstępnego kołowrotka.

Nie tak jednak wartko, jak zazwyczaj, obracało się wrzeciono w jej starej, pomarszczonej dłoni. Zadumała się głęboko i musiała myśl jej cudne roić obrazy, gdyż dziwnie słodki uśmiech osiadł na zwiędłych, bezbarwnych ustach. Nie były to wcale widziadła fantazji wybujałej, była to rzeczywistość, rozkoszna, upajająca.

Wszak wczoraj słyszała uroczysty dźwięk dzwonów, widziała swojego panicza najdroższego, w kościele *La Madeleine*, klęczącego na stopniach ołtarza, obok Blanki jasnowłosej; a ta dumna margrabina, którą zawsze z takim strachem zdaleka omijała, patrzała łagodnie, z oczami łez pełnemi, na tych dwoje, wymawiających słowa przysięgi, i drżące jej usta słały widocznie słowa modlitwy gorącej w niebiosa, aby uprosić szczęście dla młodej pary.

Następnie w imieniu matki zmarłej, witała państwa swoich na progu domu praojców, wprowadziła Blankę do wspaniale urządzonej komnaty, opowiadając, jak w tem samem miejscu, na jej wiernem ramieniu, powitał niegdyś Leons nowonarodzony świat pierwszym, rzewnym płaczem. Portret Blanki de Nangis, już tu królował wśród klombu kwiatów i zieleni, i zdawał się błogo do prawnuków uśmiechać, że przecież miłością wytrwałą, potrafili zwyciężyć wszelkie przeszkody, zwalczyć wiekowe przesądy i szczęście zdobyć prawdziwe.

Wrzeciono wysunęło się z jej dłoni, a chociaż z brzękiem potoczyło się po podłodze, nie obudziło z zadumy starej Gertrudy. Przeciwnie, głowa jej coraz niżej na piersi opadała... twarz dziwna bladość powlekła... ręce i nogi sztywnie się wyciągnęły... Misja jej skończyła się na ziemi. Panicz jej ukochany znalazł anioła, który miał go strzedz od wszelkich pokus... poszła zdać sprawę ze wszystkiego swojej pani i zapytać, czy zadowolona ze starej Gertrudy?

KONIEC.

Od Wydawnictwa.



Z dzisiejszym 52gim numerem został ukończony całorocznik czyli **tom pierwszy** *Świata powieściowego.* Okładka wraz z kartą tytułową i spisem rzeczy do całego tomu, zostanie przesłaną Szanownym Prenumeratorom z jednym z następnych numerów *Świata powieściowego.*

W następnym numerze 53cim rozpocznie się szereg nadzwyczaj zajmujących powieści i nowelli: **Carowa Elżbieta** powieść na tle historycznem osnuta; **Miłość i wola** powieść współczesna przez Zofię R; **Listy narzeczonych** nowella. Część druga interesującej powieści: **Ofiary uczucia** napisanej przez Marję Grochowalską.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.